

BIBLIOTECZKA POLSKA.

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało! . . .”

(A. MICKIEWICZ,

~~As. 487~~
Tadeusz Rittner.

POWRÓT.

(Nowele.)



Wiedeń 1915

Nakład własny wydawcy „Wied. Kuryera Polskiego“
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Drukiem J. N. Vernay'a, Wiedeń, IX., Canisiusgasse Nr. 8—10.

Melauer
Melauer
Lena Waskowski



FUW0268042

SPIS RZECZY:

Prośba	5
Finale	21
Powrót	33
Ostatnia	42

Str.

5

21

33

42

Tegoż autora wyszło:**W języku polskim:**

- Przebudzenie (nowele),*
W małym domku (dramat),
Nowele,
W obcym mieście (nowele).

W języku niemieckim:

- Drei Frühlingstage (nowele),*
Das kleine Heim (dramat),
Unterwegs (dramat),
Der dumme Jakob (komedia),
Ich kenne sie (nowele),
Sommer (komedia),
Der Mann im Souffleurkasten (komedia),
Wölfe in der Nacht (komedia).

Przedmowa.

Dwóch mamy wybitnych twórców, którzy sławę literatury polskiej bezpośrednio wynieśli daleko poza progi rodzimne to — Stanisław Przybyszewski i Tadeusz Rittner. Obaj należą równocześnie do literatury polskiej i niemieckiej, a raczej obu krytyka literacka niemiecka chętnie sobie przywłaszcza. Książki Rittnera zalecać nie trzeba. Zaleca ją dostatecznie nazwisko autora.

Tadeusz Rittner rozpoczął swoją karierę literacką od nawskróś oryginalnych, skrzących fejletonów, pisanych pod pseudonimem „Czaszka“ w krakowskim „Życiu“, które było przed laty kilkunastu wykładnikiem dążeń ówczesnej „Młodej Polski“. Od tego czasu żyjąc poza środowiskiem polskim — tworzy też Rittner w języku niemieckim i zdobywa sobie, zwłaszcza na scenie niemieckiej, prawo obywatelstwa. Nie zwiększa to w oczach naszych jego znaczenia, ale też nie ochładza naszego doń stosunku, bo w ostatecznej konsekwencji jego przynależność narodowa wyciska wyraźny stygmat na wszystkich jego dziełach. Jest nim: polski sentyment twórcy.

Jego wrażliwy, przeczulony wzrok psychiczny pada na środowiska i przedmioty, które się przeciętnemu twórcy zupełnie wymykają, a celując w podpatrywanie subtelnych przejawów duszy ludzkiej, jest Rittner dlatego może twórcą nawskróś nowelistycznym, nawet wówczas, gdy tworzy dramat.

„Zamyślenie“ twórcze jest momentem decydującym w dziełach Rittnera. Pomysł twórczy bowiem nie rodzi się u niego jako coś w życiu widzianego bezpośrednio, lecz jako przeżycie, jakby w jakimś zapamiętaniu, czy w kłopotliwym wpatrywaniu się w uciekający dzień. A wtedy jawią się przed nim chwile przeżyte. Nie pomni sam: dziś to było, czy wczoraj, czy kiedyś w dawnych latach...

Leć inną staje się obecnie ta chwila. Żywsza niż kiedykolwiek, bo autor użyca jej życia i blasku i co najważniejsze: uśmieszku, który jest najistotniejszą własno-

k-108/76/7M68

ścią Rittnera, a którego nie znajdujemy u żadnego z twórców naszych. Ma on w sobie dużo z tej wytwornej — rzecz można — salonowej wyrozumiałości i dobroci, jaka autora samego cechuje. Jest to: uśmiech mędrca dobroci. Odnajdujemy go wszędzie: „W małym domku“, gdzie się dramat małej duszy rozgrywa, w „Głupim Jakóbie“, któremu autor już w samym tytule wyraża współczucie, w ostatniej niewypłacalności duszy człowieka, co za chwilę żyć przestanie, czy w „Powrocie“, gdzie dźwięczy jak struna dawno nieporuszana. Od uśmiechu nie zaczyna jednak Rittner. Rodzi on się samorzutnie, w toku stawania się rzeczy i jest nierzadko wyzwoleniem samego twórcy.

Piękność nowel i dramatów jego polega głównie na okraszaniu przeżyć i przedmiotów obserwacji, tym niezwykłym, niezrównanym „pańskim“ uśmiechem. Jest w nich spokój niezwykły człowieka, co głęboko w sercu dramat przeżywa, a mimoto smutek ukrywa, wywabiając na usta wobec ludzi piękno utajone, piękno łaskawe.

Twórczość Rittnera jest łaską darzącą, darem niecodziennym.

REDAKCJA.

Prośba.

W sieniach, koło drzwi do pokoju rady Glika, stała kanapa pluszowa, ale zdarzało się rzadko, żeby ktoś z czekających petentów ośmielił się na niej usiąść.

— To wygląda na arogancję i mogłoby pospuć sprawę — myślał stary Walas w żółtym płaszczu i czekał stojąc, nieznacznie oparty o ścianę.

Tak on, jak i „niewidomy kompozytor“, a zwłaszcza „dama o sympatycznym wyrazie twarzy“, należeli do częstych gości w departamencie VI, znali się więc wzajemnie i nieraz gawędzili z sobą godzinami podczas nudnego czekania.

U Glika znajdował się właśnie „starzec ze łzami w oczach“. Dama zauważyła:

— Co za trudna rzecz, bezustannie płakać! Bóg świadkiem, że sama dość mam powodów do płaczu, a jednak, choćbym chciała, nie potrafię, zaręczam państwu. Zresztą cóż mu z tego? I tak nie dostanie więcej niż my wszyscy.

Walas westchnął.

— Żeby choć tak długo nie siedział u rady! Chyba nie ma innego zajęcia.

— Chciałbym tylko dlatego być bogaty — wtrącił ślepy kompozytor — żebym nie potrzebował prosić nikogo prócz... Pana Boga...

— Alboż bogaci także nie proszą! — zawołała dama — o, jeszcze jak! I oni proszą... czy to służąca o szklankę wody, czy kasyera na kolei o bilet. Wyraźnie tak, jakby im to sprawiało przyjemność.

— Bo nie muszą — stwierdził ślepy i uśmiechnął się bez goryczy.

Zaraz potem jednak boleśnie się skrzywił, bo jakiś donośny głos kobiecy zahuczał niespodzianie:

— Czy jest pan radca w biurze?

— W biurze jest... — zaczął z pewnym wahaniem woźny.

Ale nie dokończył zdania; obca, imponująco otyła niewiasta, prędką i energiczną, dała mu swój bilet wizytowy z rozkazem wręczenia go natychmiast panu radcy.

Rzeczywiście, z rozkazem. A potem — wszyscy to widzieli — usiadła, jakby nie, na pluszowej kanapie.

... Rozmowa ucichła. Nawet ślepy zwrócił swą białą twarz ku nieznajomej, jakby „świdrował ją wzrokiem“.

Za chwilę zaś wrócił woźny i z niesłychanym szacunkiem zaraportował jaśnie pani, że za sekundę przyjmie ją pan radca, — przyczem ofiarował jej aż pięć gazet porannych do czytania.

Obecni stali z zapartym oddechem. Szyja ślepego muzyka wydłużyła się w nieskończoność z ogromnego zdumienia.

Wkrótce wyszedł z pokoju Glika „starzec ze łzami w oczach“; w ręce trzymał chustkę do nosa kompletnie mokrą.

Teraz przyszła kolej na starego Walasa, który jednak złożył ukłon głęboki dystyngowanej nie-

znajomej, dając do zrozumienia, że na jej korzyść rezygnuje, naturalnie, z pierwszeństwa.

Nieznajoma nawet tego nie zauważyła i, nie pytając się, sama weszła przez drzwi otwarte.

Radca Glik przyjął ją prawie u progu.

— Jakże się cieszę, droga Eugenjo, — powitał ją tonem możliwie uprzejmym.

— Otyła niewiasta zaledwie skinęła głową, a z żywych jej oczek widać było, że chce, nie tracąc czasu, zaraz przystąpić do rzeczy.

Podąła kuzynowi rękę, którą on sumiennie pocałował; przytem przypomniawszy sobie, że pocałunku tego brzydziła się i nienawidziła od dziecka.

— Ten starzec, który właśnie wyszedł z twego pokoju, płakał — stwierdziła jakby z wyrzutem.

— Glik wzruszył ramionami.

— Być może — oświadczył — ten starzec zawsze płacze. Bo musisz uwzględnić, że to jest „biuro dobroczynności“... Przyzwyczaiłem się do tego... Bądź łaskawa usiąść.

— Kuzynka spojrzała mu chłodno w twarz, która nie była ani stara, ani młoda. Składał się przeważnie z kości, z ciemnego ubrania, z siwo-kremowej bródki i z niebieskiego pince-nez.

— Ty nie masz serca — stwierdziła spokojnie i obojętnie.

— Glik tłumaczył się:

— Z pewnością mam serce. Ale... kieruję tem biurem trzydzieści lat. Przychodzi tu człowiek, który rzuca mi się do nóg. A pewna znowu kobieta śmieje się spazmatycznie. Nie mogę zważać na takie rzeczy. Przedewszystkiem chodzi o sprawiedliwość...

— Eugenia przerwała mu gwałtownie:

— Co mówisz?! Trzydzieści? Nonsens! Gdybyś był tak długo szefem, musiałbyś mieć co najmniej sześćdziesiąt lat. A przecież jesteśmy w jednym wieku...

— Glik zaprotestował grzecznie.

— Mylisz się, Eugenjo. Jestem o pięć lat od ciebie młodszy. Ja mam sześćdziesiąt jeden, a ty...

— Eugenia poczerwieniała jak róża.

— Nonsens! Nonsens! Kiedy ojciec mój został twoim opiekunem, miałam dziewiętnaście lat, a Cecylja dwadzieścia. A kiedy ojciec dostał tytuł ekscelencji, były właśnie twoje urodziny, i mogę przysiąc, że skończyłeś wówczas czterdzieści.

Glik uśmiechał się ironicznie.

— Nie chcę sprzeczać się z tobą, Eugenjo.

— Ja też nie potrafię przysłać — odpowiedziała szorstko i gwałtownie zerwała się z krzesła.

Jako człowiek dobrze wychowany wstał Glik także.

— Zresztą nie ciesz się, bo jeszcze nie idę — zawołała na to złośliwie kuzynka.

...Poczem z nowu oboje usiedli.

— Że nie miałbyś dziś tej pięknej pozycyi, gdyby nie mój ojciec, to pewne...

Wcale nie przeczę — rzekł Glik z nerwowym uśmiechem.

A ponieważ nie przeczył, więc Eugenia przeszła do porządku dziennego.

— Cecylji muszą podwyższyć dar z łaski — rzekła — absolutnie muszą! Bo to, co ona czyni dla swych dzieci i wnuków, stanowczo przechodzi jej siły. To kobieta szlachetna. Nie dlatego, że jest moją siostrą, ale zupełnie bez-

stronnie mówię, że to święta. Kobieta, której taki mężczyzna jak ty nigdy nie zrozumie, nie może zrozumieć!... Kiedy przystąpiłam próg tego urzędu, zrobiło mi się zimno — o! — beznadziejnie zimno — Wy tu nie wiecie nic o ludzkich cierpieniach, o matkach i dzieciach! Ach — tam na kurytarzu stoi człowiek nieszczęsny, ślepy —

Glik przechylił się, jakby nie dosłyszał i spytał:

— Cecylja chce podwyższenia daru z łaski? Wiesz zapewne, że te sprawy nie należą do nas...

Eugenia zmierzyła go pogardliwym wzrokiem.

— Naturalnie, że wiem. Masz mię za głupszą niż jestem. Ale spodziewam się, że pochodzisz za tem w ministerjum skarbu. Przypuszczam, że zrezygnujesz wyjątkowo raz z własnej wygody, udasz się do referenta Pokornego i wstawisz się za córką twego opiekuna i dobrodzieja. Mam nadzieję. Gdybyś się nie zgodził...

Glik błagalnym ruchem prosił o głos.

— Pozwól, Eugenjo... przecież ja nie mówię, że nie chcę. Przeciwnie...

Twarz zaczęła mu drgać pod lewem okiem.

Przeciwnie, gotów jestem pójść do Pokornego. Uczynię wszystko, czego chcecie i co będzie w mojej mocy. Ale...

Eugenia zaczerwieniła się znowu.

— Co ale?! Co ale?!

Glik z heroicznym spokojem dokończył:

— ..ale za wynik nie ręczę. Bo według ustawy z roku 1785 a zwłaszcza według rozporządzenia ministeryalnego z d. 5 maja...

— Daj-no pokój! — zaśmiała się Eugenia — daj pokój!...

Podniosła się znowu, więc i on wstał niemal jednocześnie.

— Powiem ci tylko jedno, mój drogi: Jeśli zechcesz, to uda się rzecz na pewno. Nieuda się, to będzie znak, że nie chciałeś. Punctum! A więc proszę pamiętać: chodzi o podwyższenie co najmniej o tysiąc koron...

Poszła do drzwi, rzuciwszy przelotne spojrzenie na duże zwierciadło na ścianie i powtórzyła z pewną przyjemnością:

— Co najmniej o tysiąc.

Na progu jeszcze raz się odwróciła.

— Ale pójdziesz *dzisiaj* — nie pojutrze! Bo wiem, że Pokorny wybiera się na urlop. Rozumiesz? Pójdziesz między pierwszą a drugą, bo wiem, że o tej porze przyjmuje.

Wreszcie (już na kurytarzu) rzekła, patrząc mu w oczy:

Jutro będę u ciebie w tym samym czasie i zdasz mi sprawę! Adieu! Między pierwszą a drugą...

Glik spoglądał za oddalającą się kuzynką ponurym wzrokiem. Potem zwrócił się szybko do oczekujących petentów.

— Na kogo kolej? — spytał krótko, ostro.

Stary Walas wysunął się naprzód, jakby tańczył w kontredansie. Pozdrowił zachmurzonego radcę słodkim, na pół poufałym uśmiechem i podążył za nim do pokoju.

— Czegóż pan znowu chce? — spytał Glik brutalnie.

Ale uprzejmość Walasa była niewzruszona.

— Pan radca powalał sobie rękaw — zauważył, pobiegł do stojącego w kącie stolika po szczotkę i mimo protestów Glika wziął się do czyszczenia surduta.

Podczas tego myślał Glik z przykrym niepo-

kojem: Jak on się orientuje w moim pokoju! Wie nawet, gdzie leży szczotka,

Chciał powtórzyć pytanie tonem równie szorstkim jak przedtem, a jednak mimowoli poprosił:

— Niech pan siada.

Walas usiadł i po raz setny może w życiu jał opowiadać radcy swą własną biografię — tym razem celem uzasadnienia swej pretensyi, co do rozpisanej właśnie fundacyi Podelbińskich.

Glik przerwał mu ironicznie:

— To dziwne, że pan ma zawsze jakieś „prawo“. Czy chodzi o tę fundacyę, czy o inną, zawsze pan jest najbliższy z żyjących krewnych fundatora.

Walas uśmiechnął się pobłaźliwie Uprzejmie zwrócił uwagę Jaśnie Wielmożnego pana radcy na okoliczność, że tym razem nie decyduje pokrewieństwo, lecz z odznaczeniem ukończona szkoła wyższa. I szybko wyjmował z kieszeni otrzymane przed trzydziestu laty doskonałe świadectwo. Przytem wzrok miał wlepiony w sufit, jakby z delikatności nie zauważył — nie chciał zauważyć, że pan radca nie znał postanowień fundacyjnego aktu.

Raz tylko przerwał swoje wywody i stwierdził *en passant*, półgłosem, jak stary przyjaciel domu:

— Ot — przyszedł poczciwy Józef po akta, które idą do rewizyi.

Wiedział, że woźny nazywa się Józef, że akta „idą do rewizyi“... naturalnie, znał ministerjum jak swą kieszeń.

Glik odczuwał wprost nienawiść do tego człowieka o siwych włosach i z wiosennym krawatem.

— Naprózno pan się trzudi — oświadczył — już dlatego nie może być mowy o uwzględnieniu pańskiego podania, że pan stara się literalnie co roku i zawsze o coś innego. Czy pan myśli, że wszystkie fundusze dobroczynne istnieją tylko dla pana? Zeszłej jesieni przyznaliśmy panu tyśiąć koron, przed dwoma laty tyśiąć dwieście, przed trzema...

Nagle dostał znowu fatalnej drgawki na twarzy, przyczem Walas z podkreśloną dyskrecją spoglądał w inną stronę.

Kiedy radca skończył, rzekł Walas z niewysłowioną słodyczą w głosie:

— Tak, tak... wiem doskonale, że Wielmożny pan radca uczyniłby dla mnie wszystko, gdyby to zależało tylko od niego, ale...

Nagle spytał z dziecięcą niemal prostotą:

— Czy nie radzi mi pan radca udać się wprost do jego ekscelencyi?

Glik warknął:

— Może pan robić, co się panu podoba.

Walas spojrział na niego wzrokiem niby przerażonym.

— Za nic w świecie nie uczynię nic wbrew woli pana radcy — zaklinał się — nie uczynię nic jeśli mi pan radca, mój dobrodziej, zakaze.

Glik powiedział wzrokiem:

— Wiesz dobrze, że nie mogę ci tego zakazać.

A Walas odrzekł (tym samym niemym językiem):

— Wiem. A i to wiem że wszystkie dotychczasowe zopomogi otrzymałem wbrew twojej woli.

Glikowi zdawało się nawet, że stary Walas uśmiecha się szyderczo, jakby mówił: Jestem żebrakiem zwycięskim! Jestem silniejszy, niż

dziesięć milionów pcheł i pluskiew! Jestem talentem, potęgą!

Glik nagle powstał i stwierdził:

— Pan się myli. ja nie jestem pańskim dobrodziejem.

Ale Walas uściśnął serdecznie dłoń, której radca wcale mu nie podał i wreszcie oddalił się, zapewniając gorąco jasnie wielmożnego radcę, że wdzięczność jego nigdy nie zagaśnie.

Woźny zaanonsował ślepego.

— Dużo osób jeszcze czeka? — spytał radca.

— Osiem.

Glik powiedział:

— Jedną osobę mogę jeszcze przyjąć, ale potem wyjdę z biura. Proszę to oznajmić tym... państwu na kurytarzu.

Potem usłyszał Glik zbliżające się kroki, coś na czterech nogach, coś dzwonego, niepokojącego, jak strachy we śnie. Jak zwykle, wszedł najpierw do pokoj: mały, rezolutny chłopak i pociągnął za sobą energicznie dużego, niezgrabnego mężczyznę, który szedł niepewnie, napozór w kierunku pieca. Aż obaj powoli, zygzakiem zbliżyli się do biurka.

— Dzień dobry — odezwał się ślepy tonem jakby protekcyjnym.

Chłopak odetchnął głęboko, jak robotnik, gdy zadzwonią na obiad, i puścił ślepego, pozostał jednak w pokoju i, nie troszcząc się o gospodarza, zaczął szczegółowo zwiedzać wszystkie osobliwości lokalu.

— Przecież załatwiliśmy już dawno pańskie podanie — zauważył Glik spokojnie, lecz sucho.

Minęła dłuższa chwila, zanim odezwał się ociemniały muzyk.

Rysy jego odznaczały się szlachetną, prawie dumną pięknoscia, zdaniem Glika niestosowną dla skromnego petenta. Jego wiecznie opuszczone powieki nie wzbudzały w radcy najmniejszego współczucia, przeciwnie drażniły go, jak nie zwykła jakaś afektacya.

— Cóż, kiedy nie dostałem jeszcze pieniędzy — rzekł ślepy.

Glik pomyślał. —

On mówi takim tonem, jakby był moim wierzycielem. Strasznie zarozumiały, niemożliwie arogancki.

Chłopak przerwał swą wędrówkę po pokoju i spojrzał na radcę bezczelnie, jakby pytał:

— He — cóż to znaczy? Dlaczego mój stryj nie dostał jeszcze pieniędzy? Proszę się wytłumaczyć...

Radca z trudem panował nad sobą.

— Powtarzam panu — rzekł bardzo powoli — że my uwzględniłiśmy już podanie. Jeżeli dotychczas nie wyłacono panu kwoty, przyznanej reskryptem ministeryalnym, proszę się udać do pierwszej instancyi.

Kompozytor milczał chwilę, a potem spytał głosem, jakby ironicznie zdziwionym, arystokratycznym, cichym:

— Reskryptem?... Do pierwszej instancyi?

Roześmiał się nagle i dodał:

— Przepraszam, ale... ja nie rozumiem tych wyrażen... Może pan wytłumaczy mi po prostu, jak dziecku.

Także chłopak zawył z uciechy, widząc, że stryj się śmieje.

Radca poczuł gwałtowną chęć wyrzucenia bębna za drzwi, ale... ochłonał, powiedział

sobie, że byłby to nietakt wobec stryja kaleki... i zaczął tłumaczyć ślepemu o co chodzi, cierpliwie, „poprostu, jak dziecku“ i mimowoli także głosem cichym, arystokratycznym.

Potem znowu długo mówił ślepy. Przeszło dużo czasu.

— Tu nie chodzi o mnie i o moje życie — mówił ślepy — co mi tam życie? Tu chodzi o moją sztukę. Chodzi o spokój niezbędny do dalszej pracy artystycznej.

Glik przerwał niecierpliwie:

— A więc niech pan tak zrobi, jak panu radzę. Niech pan zaraz pójdzie do rachunkowego departamentu namiestnictwa i powoła się na tu-tejszy numer, który dadzą panu w dzienniku podawczym. Rozumie pan?

Artysta milczał.

Glik spoglądał na jego twarz marmurową, na jego wiecznie opuszczone powieki i myślał: On jest nieprzyjemnie dumny, dumny z kalectwa swego, czy też ze sztuki swojej, a mną pogardza, bo jestem zimnym biurokrata, który mówi o „pierwszej instancyi“. Pogardza mną, a w duszy woła, tak jak przed chwilą Eugenja: Co wy tu wiecie o wiecznym ogniu ziemi?! Co wy wiecie? Co?!...

W tej chwili przypomniał sobie surowy nakaz swej kuzynki i prawie z lękiem spojrzał na zegarek.

— Zaraz będzie pierwsza — rzekł szybko — niech pan się nie gniewa, ale muszę natychmiast w bardzo ważnej sprawie wyjść z biura.

Nagła jego gorączka nie zaraz podziałała na artystę. Przeszło znowu kilka minut, nim ślepy

kompozytor zrozumiał, powstał i nareszcie z pomocą chłopaka się oddalił.

Teraz radca zaczął przebierać się z niezwykłym pośpiechem. Przytem zastanawiał się, dlaczego ślepy nigdy ani trochę się nie spieszył. Czy podobna żyć i nie spieszyć się? Może ten kaleka jest przedwcześnie stary, czy to przez ową sztukę, czy przez swoje kalectwo? Zresztą... jakże to kalectwo dziwnie jest niesympatyczne!

Gładząc szczotką starannie swój cylinder, myślał:

— Mój Boże, wiem, że to jego nieszczęście jest straszne, a jednak dlaczegoż ani trochę mnie nie wzrusza? Czy istotnie nie mam serca? Nieprawda, nieprawda, Eugenja kłamie. Czasem czuję wyraźnie, jak mnie tu boli. Czasem nawet płakałbym, gdybym nie był za stary. Mam serce, ale nie dla was, nie dla was potentów wiecznych, uporeczywych, zuchwałych, bezczelnych...

Drażał ze złości na potentów.

Kiedy w cylindrze i w palcie wyszedł z pokoju, zauważył, że na kurytarzu stały jeszcze dwie kobiety z dzieckiem. Mimo, że kazał im przez woźnego odejść.

— Rozumiem — myślał — że kobiety nie usłuchają woźnego, który chce im wziąć ostatnią nadzieję....

Uśmiechnął się na myśl, że jest „ostatnią nadzieją“, i że tym razem kobiety muszą oddalić się z niczem. Czuł, jak spoglądają za nim, niby za pociągiem pospiesznym, na który się spóźniły.

Z rozpaczki wysłały dziecko, które pobiegło za Glikiem na schody i spojrzało mu prosto w nos, jakby pytając:

— ...Idziesz już, idziesz? A ja? A mama?

Twarz miała jasną, różową. Kiedy już Glik był na dole, stanęła mu znówu przed oczyma ta jasna twarz, jak „nie z tego świata“, i wziął go przykry wstyd jakiś, czy niepokój i pytał się:

— Chyba nie odrzuciłem od siebie dziecka? Co? Przecież nie zrobiłem mu nic złego?

Był już na ulicy, i znówu ukazała mu się twarz dziecka i drugi raz, trzeci, dziesiąty. Twarz, która nie prosiła go o nic. Co za rzadkość! Dawniej, na początku świata, nietylko dzieci miały takie twarze. Wówczas, kiedy jeszcze nikt nie wiedział, co znaczy „prosić“...

Kiedy człowiek rabował, ale nie żebrał. Kiedy...

Przystanął nagle i szepnął:

— I ja idę żebrać.

Dopiero teraz uświadomił to sobie.

— Do stu dyjabłów... i ja —

Tłusta Eugenja zaprzęła go już, jak starą, bezbronną szkapę. Słyszy bicz jej nad głową — i pędzi klusem, żeby po raz pierwszy w życiu — nie dla siebie wprawdzie, — ale bądź co bądź dla kuzynki, starać się o łaskę.

Żeby choć przypomnieć sobie, jak ten Pokorny wygląda! Żeby choć wiedzieć, czy jest duży, czy mały, czy nosi brodę, czy tylko wąsy?

Męczył się tą kwestją, jakby od powierzchowności Pokornego zależało wszystko.

Przez chwilę wziął go strach taki, że chciał zawrócić. Myślał, czerwieniąc się z gniewu na Eugenję:

— Czy ja muszę jej słuchać?! He? Czy jestem zobowiązany?! Czy nie mogę nagle zachorować, albo... poprostu nie mieć czasu?!...

Ale Eugenja powiedziałały:

— ... Wstretny niewdzięczniku! Gadzie podły! Czem bybyś dziś, gdyby nie mój ojciec? A dla siostry mojej nie miałeś czasu?!

Napadłaby na niego publicznie, na ulicy, napadłaby mu w oczy.

Nagle przypomniał sobie:

Pokorny ma tylko wąsy i jest średniego wzrostu.

To go, rzecz dziwna, jakoś uspokoiło.

W sieni obcego ministerjum zaczął jednak dzwonić zębami.

— Czy jest pan radca Pokorny? — spytał jakimś bardzo cienkim głosem.

— Jest — odpowiedział woźny — ale w tej chwili przyjmuje deputację.

Glik usiadł na pluszowej sofie.

Zaczął namyślać się, jak zacznie rozmowę z Pokornym.

Stylizował starannie, kreślił i poprawiał w myślach przemówienie swoje, tak jakby akt pisał. Przeszkadzało mu tylko dziwne uczucie, że... jest „starcem ze łzami w oczach“. Nie mógł się pozbyć tego waryackiego uczucia — i układanie mowy do „kolegi z obcego ministerjum“ niezwykle sprawiało mu trudności.

A naraz ktoś się do niego przysiadł. Kobieta w sukni nędznej brudnej, niewyraźnie brązowej. Nie była ani młoda ani stara, ani ładna ani brzydka; była — petentką.

Nie potrzebował nawet na nią spojrzeć; poznał ją po zapachu. Po tym mdłym, charakterystycznym zapachu, który przez trzydzieści lat towarzyszył pracy jego w „biurze dobroczynności“ ministerjum.

— Ależ ja wcale nie umiem prosić! — po-

myślał z rozpaczą — przecież nigdy w życiu nie prosiłem... To nie należy do... mojej... kompetencji. To... za trudne... to wymaga doświadczenia...

Wstał, żeby nie siedzieć obok osoby z zapachem petentki i powtarzał mechanicznie z lękiem:

— Jestem od trzydziestu lat szefem... „biura dobroczynności“. Jakże mogę nagle wystąpić w roli petenta! Przecież nigdy... nigdy w życiu..

Poczuł nagle w duszy swojej coś w rodzaju — paniki, czy rewolucji. Tak jakby nagle zbuntowały się przeciw niemu jego własne służby — zdrowy rozsądek, pamięć, inteligencja... I z ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem energii urzędniczej postanowił „zrobić porządek“.

Zaczął perswadować sobie, że właściwie nie przyszedł z prośbą.

Mówił sobie:

— Nie jestem petentem więc nie może być mowy o prośbie. Jestem w tej samej randze, co Pokorny. I ja radca i on radca. Tu chodzi o całkiem drobną przysługę koleżeńską. O nic innego. Dziś przychodzę ja do niego, jutro przyjdzie może on do mnie. Ależ naturalnie! To się bierze lekko, lekko...

Mówił sobie:

...Wejdę lekkim, swobodnym krokiem do jego pokoju — przywitam się uprzejmie ale poufale, wesolo, pogodnie... i powiem mniej więcej: Nie gniewaj się, radco kochany, że przeszkadzam. Ot chodzi o głupstwo, o małą koleżeńską przysługę...

W tej chwili przystąpił do Glika woźny i coś powiedział. Coś.

Glik nie rozumiał słowa.

Ale domyślił się, że już czas. Uśmiechnął się zmieszany i zbliżył się do drzwi z takim uczuciem, jakby szedł po sianie, czy po miękkich poduszkach.

„Teraz lekkie, swobodne kroki!“ — rozkazał sobie przestępując próg kancelaryi Pokornego.

Ale w tej samej chwili pomyślał:

— Jestem teraz podobny całkiem do starego Walasa.

I to uczucie zmieszało go do reszty. Z rozdrażnienia nie mógł wykrztusić słowa.

...Ujrzał niby poza gęstą zasłoną wątego człowieczka o rzadkich, małych wąsikach i usłyszał, jak z daleka, jak z końca świata... pytanie pełne strachu:

— Na miłość Boską, co panu jest? Panie Glik, czy pan chory?

Glik kiwnął „uprzemie ale poufale, wesoło i pogodnie“ głową, usiadł (trochę może za raptownie) na fotelu, potem usiłował założyć niedbale prawą nogę na lewą i jękając się wyszeptał:

— Nie gniewaj się, kochany radco, że przeskadzam...

I nie mógł dalej mówić. Więc pomyślał:

...Jestem nieszczęsnym kaleką; takim, jak — ślepy kompozytor.

Naraz postanowił naśladować niewolniczo ślepego kompozytora i za pomocą tej bajecznie skutecznej metody wyprosić od Pokornego kilkanaście milionów.

Siedział bez ruchu i prawie z rozkoszą odczuwał szlachetną, prawie dumną pięknosć rysów twarzy własnej. I jakby z własnej woli przy-

mknął powieki, robiąc wrażenie statuy marmurowej, martwej i sztywnej.

...Że jednak potem nie mógł już ani oczu otworzyć, ani pozbyć się uroczystej sztywności, nie było chyba wynikiem jego własnej woli.

A niezadługo potem trzeba go nawet było wynieść i zawieść do stacyi ratunkowej, gdzie lekarz stwierdził: „lekkie porażenie“.

Bądź co bądź do „biura dobroczynności“ radca Glik już nie wrócił.

— «O» —

Finale.

I.

Znowu jedziemy z kobietą — on i ona pierwszą, a ja drugą klasą — gdzieś na złamanie karku; jak zawsze. I nie jak zawsze. Że ona jest „inną“ jak zeszłego roku, w tem nie byłoby nic dziwnego. Ale tym razem ma dopiero osiemnaście lat — Boże, zlituj się. — Co myśli sobie mój pan? Co z tego będzie?

Ot, panienska z najczycigodniejszej familii. Ale patrzy swymi świderkami człowiekowi prosto w nos i znać odrazu, że nie boi się niczego. Pan zarumienił się dziś rano na dworcu, kiedy na przywitanie podała mu rękę; jakby sam miał osiemnaście lat. A mógłby mieć i sto. Bo kiedy przed trzydziestu laty wstąpiłem do niego do służby, wyglądał już tak samo, jak dzisiaj. Ani staro, ani młodo. Zresztą, kto wie, czy się nie myślę i służę u niego krócej, a on nie ma więcej, niż czterdzieści pięć, bo skąd miałby jeszcze taką moc w sobie, że ledwie kiwnie palcem, to

młodziutka koza skoczy za nim w ogień. — Ale może być także — w imię Ojca i Syna.. — że on jest poprostu dyablem.

Nigdy z nim właściwie długo i uczeiwie nie gadalem, więc mógłby być i dyablem. Zapewne przyzwyczailiśmy się dlatego do siebie, że prawie nic z sobą nie gadamy. Niema nawet potrzeby, bo ja i tak wszystko wiem, a on wie, że ja wiem. Ściany, łożko, kanapy — także wszystko wiedzą, choć nikt z nimi nie rozmawia... albo pies — mój Boże! — mamy psa, przed którym nie mam tajemnic, choć nigdy mu się nie zwierzałem, a teraz aż serce mię boli, że go niema z nami. — Z moim panem znam się, jak z psem.

I wiem wszystko, co się dzieje w jego duszy. Gdyby dziś w nocy myśl jego nagle stanęła, jak zepsuty zegarek, mógłbym od jutra rana sam dalej za niego myśleć. Wiem zawsze wszystkie głębsze powody jego czynów. — Wiem o nim tysiąc razy więcej, niż on sam.

Naprzykład co do tej panny osiemnastoletniej, którą wieziemy gdzieś, na złamanie karku.

II.

Pociąg pędzi, w tył uciekają i w przepaść słupy telegraficzne... a ja przypominam sobie te czasy, kiedy jeszcze byłem chłopcem w stajni cyrku Sidollego.

Powiedział mi raz siłacz, który na afiszu zwał się Don Pablo Bozanareo, ale mówił tylko po czesku, choć zresztą wcale był wszechstronny, bo nie tylko chodził lekko, jak dziewczynka, po linie, lecz i podnosił fortepian razem z pianistą... powiedział mi raz po niedzielnej przedstawieniu popołudniowem :

— Wiesz, mały, że wujcio (zawsze mówił o sobie „wujcio“) napewne wkrótce rozbije sobie główkę, albo połamie kosteczki.

— A to dlaczego? — zapytałem bardzo zdziwiony, bo Don Pablo strasznie miał mądre i doświadczone ciało, a ręce i nogi tak zaufania godne, jak pręty żelazne, a kiedy stał na linie, zdawało się, że na niej się urodził i wychował, na niej pił, aż dosłużył się czerwonego nosa, i na niej połyślał.

Wziął mnie pod rękę — a pot jeszcze kapał mu z czoła — i jakby miał pilny interes, szeptał do mnie w kącie :

— Dlatego, że mnie się czasem na linie chce spać. Albo przynajmniej sięść sobie na chwilę i podumać, dłubiąc w nosie. Nie śmiej się, smyku, bo to nie śmieszne... Mnie jest czasem na linie tęskno za matką, i zdaje mi się, że lina, to kolana matczyne, i można położyć na nią głowę i nabeczyć się do woli. Rozumiesz?

Nie rozumiałem, bo miałem dopiero czternaście lat. Przeszły mnie jednak ciarki na myśl, że kiedyś mógłby wujcio pod samym dachem cyrku położyć się na linie i spokojnie, jak w domu u matki, płakać. Spojrzałem mu ze strachem w oczy, które jakoś nagle się postarzały.

Ale nie byłem przytem, jak wujcio rozbił sobie główkę, bo wkrótce pan mój przyjął mnie do służby. Już przedtem nosiłem mu listy i bukiety do panny Amandy, która jeździła co wieczora po wielkiej przerwie na białym koniu, a, jak utrzymywał wujcio, czwarty krzyżyk dawno miała już poza sobą.

Było to przed trzydziestu laty, a dziś pan mój kocha się w osiemnastoletniej.

— Może stara Amanda była pierwszą. Choć trudno mi jest wyobrazić sobie, żeby przed Amanda nie było nic.

— Mój pan z pewnością od stworzenia świata zawsze miał przyjaciółkę, i zawsze inną, i zawsze wyglądał tak, jak dzisiaj, — Amanda zaś trwała tylko chwilę, a po niej było tyle przeróżnych innych kobiet — jasnych i czarnych, smukłych, jak tulipany, i bujnych, jak lipy w kwiecie, pachnących, jak maliny, i tak, jak migdały, i blade były, smutne, i ciągle rozśmieszane, jak dzwonki, i jedwabiami szumiące i tak ubogie, że tylnymi schodami wpuszczałem je do domu, i ciche, łagodne, i głośne, swawolne.

A za te wszystkie stworzenia boskie, sarny, łabędzie, gołębicę i papuzki, kotki i pantery, strasznie wdzięczny jestem memu panu. Bo w domu jego tyle nawidziałem się cudów, jak gdybym był w Indyach, w Afryce, w Kalifornii i wszędzie. Jak zasną, to jeszcze w oczach tańczą mi kolory a w uszach grają mi flety i wiolonczele.

— Mój pan jest niby lekarzem. Ale słusznie raz ktoś powiedział, że to nie jest zawód jego właściwy.

— Nie; właściwy zawód mego pana, to kobieci. Zawód tak ciężki, krwawy, niebezpieczny, jak mego przyjaciela Don Pabla, który chodził po linie i podnosił fortepiany.

...W tył i w przepaść lecą słupy telegraficzne. —

III.

Jesteśmy na miejscu. I zdaje się, że tu zostaniemy, a w każdym razie, nie wrócimy już nigdy do domu.

Panna nie może wrócić, bo zapewne wyrzekła się jej rodzina, albo ona zerwała z rodziną. Bo to nie jest, jak dotychczas, miła rozrywka, ale... Dość spojrzeć na mego pana, który nic nie widzi, nie pragnie, nie czuje, prócz — niej.

— Gdzie jesteś? — pyta zawsze, ilekroć panna odejdzie choćby na chwilę do drugiego pokoju.

Mamy tylko trzy pokoje. Ot, pudełko, nędzka, a nie mieszkanie: Ja mieszkam niby osobno, a jednak słyszę wszystko, każde ich słowo, westchnienie — całe ich to życie słodkie, biedne a kompromitujące — czy chcę, czy nie chcę.

— Nie wiem, czy na pana mego przyszło coś złego czy dobrego, ale to pewne, że pyta się ciągle, jak chory albo stary człowiek:

— Gdzie jesteś?

Ona go tą swoją młodością odurzyła, jak majowe powietrze, — i przybiła go swymi świderkami do miejsca. I biedny chrząszcz nie rusza się. Jesteśmy tu już kilka tygodni, i pan ma tu, jak wszędzie, dużo znajomych — a siedzi kołkiem w domu.

Jakby nie było większej rozrywki w świecie od tej panny. A ona — mówiąc między nami — ma wszystkiego dwie suknie. Jak dziś wdzieje czerwoną, to jutro napewno będzie w czarnej. I to samo ze wszystkim... Kobieta ciągle powinna się zmieniać, pod każdym względem. — Dotychczas wszystkie nasze kobiety były zmienne i kapryśne — a jednak wkońcu przecież nam się znudziły. — A ona zawsze jest taka sama. Zawsze tak samo patrzy. — Jej czarne oczy umiem już, doprawdy, na pamięć. Ustawicznie są niby strasznie zdumione tem szczęściem, że taki

pan, jak mój pan, właśnie w niej a nie w innej się zakochał. I coraz większe są te oczy. Jakby miłość była morzem bez granic, którego takie biedactwo wprost nie może objąć wzrokiem.

Nie ulega kwestyi, że urządziła się na wieczne czasy. Pan chyba nie widzi i nie czuje, że ona liczy na dożgonne i nierozzerwalne z nim pożycie. Powinien jej dać do zrozumienia, że to niemożliwe.

Jakby go przestrzedz? Jakby wpłynąć na niego, żeby się zbudził i nie wpadł w... „morze bez granic“?

IV.

Przeszliśmy rok straszny.

Mój pan jest niewolnikiem i może sam to czuje. Przeszliśmy rok poprostu małżeński. Pan wygląda tak, jakby przeciw medycyna była właściwym jego zawodem. Wstaje wcześniej, potem jedzie na wizyty, między 4-tą a 5-tą ordynuje, a resztę życia pochłania „panna“, która ma obecnie — pomimo, że upłynął dopiero rok — dwadzieścia pięć lat. Bo strasznie jest dojrzała, pewna siebie, odważna.

W zimie wypytywała go nieraz o... tamte. Ale nie z zazdrości i strachu, choć tamte były od niej piękniejsze, tylko jakby dla własnej satysfakcyi, jakby dla nacieszenia się tem, że jednak wkońcu wygrała, że pokonała i tę i ową.

— A któż był po rudej Ernestynie?

Pan bąkał coś, na chybił-trafił, jakby wstydział się własnego życia.

— Potem już nikt... Potem już ty, dziecko. Z pewnością.

Ale panna zawołała:

— Nieprawda? A zapomniałeś o małej baronowej?

Pan uderzył się w czoło:

— Rzeczywiście, masz rację... mała baronowa! — Ale teraz może mi zagrasz Szopena —

Natychmiast siadła i zaczęła grać. Kiedy jednak pan zbliżył się do fortepianu, żeby przewrócić kartkę, nagle przerwała i spytała cichutko z chytrym uśmiechem:

— A... po baronowej?

Drgnął, jakby mu ktoś wylał na głowę kubel wody, i zdawało się, że wpadnie w pasyę; ale skrzywił się tylko i powiedział prędko:

— Potem już ty! Przysięgam ci, że ty!

Wtedy panna rzekła spokojnie:

— Potem już ty! Przysięgam ci, że ty!

Wtedy panna rzekła spokojnie:

— Potem Wera Bianchi.

I rzecz niepojęta; kiedy ja sam, słysząc nazwisko włoszki, z którą przed rokiem spędziłyśmy pachnące i słoneczne czasy w Taorminie, o mało nie krzyknąłem z tęsknoty, pan znowu tylko się zmieszał i zaczął usprawiedliwiać się, jak student:

— Ach... Bianchi. — To nie, to mały epizod — głupstwo. Nawet już nie wiem, jak wyglądała.

Nieraz myślałem już, że śledztwo przeciw skończy się katastrofą, ale zawsze się myliłem. Przeciwnie; najczęściej końcem była scena miłosna.

Bo Pan pytał:

— Skądże wiesz o tamtych? Skąd wiesz, jakie miały nazwiska, a nawet jakie włosy, oczy, grzechy, cnoty?

A ona wyznawała:

— Miałam zaledwie czternaście lat, a już znałam wszystkie szczegóły z twego życia.

Wtedy on się dziwił:

— Skąd? Jakim cudem?

Panna zaś mówiła, bynajmniej się nie rumieniąc:

— Takim cudem, że cię kochałam.

I głos jego stawał się dziwnie niski, ciemny...

— Już wtedy? kiedy miałaś czternaście lat?

Kiwała głową:

— Czternaście...

Poczem już nie było słów, tylko muzyka zakazana, której zresztą nie byłem już ciekaw.

Takie bywały często rozmowy wieczorne w zimie. I tylko jeden szczegół zrobił raz na mnie — sam nie wiem dlaczego, — szczególniejsze wrażenie.

Pan się przyznał, że i on sam kochał ją „już wtedy“ — a ona spytała, dlaczego, kochając ją, stronił jednak od domu jej rodziców.

Wtedy pan odpowiedział:

— Bo czułem, że ty będziesz ostatnią.

(„Ładna perspektywa“ pomyślałem, stojąc przy drzwiach i podsłuchując, „więc już nigdy nie będzie odmiany!“).

Ale panna spytała z wielkiem zdumieniem:

— Cóż w tem złego, że jestem ostatnią?

A pan zawołał (z przykrym dla mnie zapałem):

— O, nie, przeciwnie! Ale wówczas się bałem.

Przecież dopiero dziś wiem, co znaczy szczęście!

(„Tak nisko upadł!“ pomyślałem z niesmakiem).

— ...Choć dawno — dodał pan — dawno nieświadomie za niem tęskniłem.

Panna spytała zalotnie:

— Za mną?

Odrzekł dziwnie jakoś smutnie:

— Za ostatnią...

A ja ze zgrozą przypomniałem sobie tęsknotę waszycia na linie — —

V.

Tak było w miesiącach brzydkich, zimowych. — ...Ale teraz wszędzie coś kwitnie; w ogrodzie bzy, w mieszkaniu naszym jakieś nieokreślone buntury i pragnienia, a na drugim piętrze nad nami — osoba piękna, o której nikt nie mówi, tylko... tajemne, nerwowe spojrzenia mego pana i moje.

Pan coraz silniej odczuwa swą niewolę. I wiem, że ogarnął go strach przeraźliwy... Przed zamurowaniem na zawsze. — Przed nagłą starością. — Nasza „panna“ nic o tem chyba nie wie, bo uśmiecha się tak pogodnie i zwycięsko, jak zawsze. A jednak pan z tego strachu przed starością zrobił się biały, jak dziewczę anemiczne. I z tego strachu przed dwoma tygodniami po raz pierwszy powiedział pannie dziwnie złe słowa...

Kiedy znowu wypytywała go o „tamte“ — kiedy z nielitościwą swą natarcywością miłosną dowiadywała się, kto był po Maryi, a kto po Agnieszce, mój pan niespodzianie poczerwieniał z gniewu i spytał dawnym jakimś i młodym, bardzo swoim i wyniosłym tonem:

— A kto będzie po tobie?

Wtedy pokazała się cała moc tajemnicza panny. Bo nawet nie drgnęła — ale spokojnie przeszła go świderkami i rzekła z uśmiechem:

— Po mnie? Przecież jestem ostatnia —

I z wdziękiem niezrównanym, delikatnie, jak matka młoda, pocałowała go w głowę.

Natychmiast zmalął i zamilkł.

Ale strach jego rośnie, jak trawy w naszym ogrodzie. A że dla nas dwóch, dla pana i dla mnie, wszelkie porozumiewanie się słowem jest zbyteczne, więc wiem, choć mi tego nie mówił, że stał się już... buntownikiem ze strachu. Wiem, że dniem i nocą myśli tylko o tem, żeby pokazać, iż nie da się ostatecznie zamurować. Pokazać — nie z chęci jakiejś zemsty nad panną, którą kocha, — ale sam sobie pokazać, że jeszcze nie jest chrząszczem na szpilce, że jeszcze jest młody i może popełnić tysiąc niegodziwości.

I dziwna jest znowu w nim czujność, jak za dawnych, najgorętszych czasów; czujność męska, myśliwska, czujność nałogowego czciciela kobiet.

Obaj dowiedzieliśmy się jednocześnie o „tej z drugiego piętra“. W tej samej chwili poczuliśmy niejako zapach jej istnienia. W tej samej chwili usłyszeliśmy znak jakiś, szelest dla nas tylko mistycznie ważny... usłyszeliśmy cichutkie „jestem... czekam...“ przez gruby mur, dywany, sufit i... krótko spojrzeliśmy sobie w oczy: pan i ja. Tak, jak konie mądre i czułe, które niegdyś w jednym były pułku. I już znaleźliśmy jej typ. Zanim jeszcze przeszła raz po wschodach, koło drzwi otwartych naszego mieszkania — dwudziestego maja o trzeciej popołudniu — tak blisko, że prawie musnęły nas jej suknie —

Poczem pan powiedział głosem nerwowym:

— Nie hałasuj-że, Józefie, bo pani śpi na kanapie.

A ja ukloniłem się i odrzekłem:

— Bardzo ładne mają róże —

— Gdzie?

— Naprzeciw, u ogrodnika.

Pan chrząknął i mruknął:

Mówiłem ci już, żebyś nie chodził w tym poplamionym surducie. Kup sobie, nareszcie, do stu dyabłów, nowy.

Ukloniłem się znowu i powiedziałem:

— Są także piękne irysy...

Pan zaczerwienił się z gniewu: rzekł krótko:

— Nie.

— Więcej... róże.

Pan zaczerwienił się z gniewu:

— Ileż razy mam jeszcze gadać!

Panna zbudziła się na kanapie. Słyszałem, jak pan szybko do niej poszedł i ni stąd ni zowąd skarżył się jej, że mnie trzeba wszystko powtarzać sto razy.

Ale ja dawno już nie byłem tak szczęśliwy. Kupiłem cudne róże u ogrodnika; bilet pana... przypadkiem znalazł się sam u mnie, kiedy było trzeba. Wieczorem zaniósłem kwiaty na drugie piętro do... „trzciny cukrowej“ (tak tę nową kobietę przezwałem, bo smuklutka była i w oczach strasznie słodka). A kiedy w kilka minut potem byłem już znowu w swoim pokoiku, weszła nagle nasza panna i dała mi pół butelki wina i owoce.

— Żeby ci nie było smutno, Józefie, — powiedziała.

Poczem właśnie bardzo było mi smutno.

W nocy naraz (z wyrzutów sumienia) boleśnie pokochałem naszą pannę.

...Ale kiedy w trzy dni potem znalazł się u mnie — przypadkiem — list pana do „trzciny cukrowej“, zaniósłem go naturalnie zaraz na drugie piętro.

Bo los kazał. —

Los kazał, i — naraz jestem sam. Straciłem wszystko.

Pakuje się.

Z biednego naszego „pudelka“ niema śladu. Są jeszcze w mieszkaniu dwa łóżka, biurko panna, szafy panny i graciki, ale — wszystko straciło duszę.

Przy stole, gdzie zawsze jadali pan i panna, siedzi urzędnik w mundurze i spisuje ze mną protokół.

Jestem bez czucia, i choć osobistość mówi do mnie: „mój Józefie“, nie irytuję się wcale.

— Co mówisz, mój Józefie? Więc to była dopiero pierwsza schadzka twego pana z ową... dam.ą... jakże jej — ?

— Trzeina cukrowa.

— Cóż to za głupstwa! Zwaryowałeś z rozpaczy? Dama nazywa się Felicja Bąk? nieprawdaż?

— Prawdopodobnie.

— A kiedy twój pan wszedł do hotelu „Pod koroną“ na ową właśnie pierwszą... ach, niedoszłą — schadzke, dawna przyjaciółka jego, panna M., czatująca w sieniach, zabiła go wystrzałem z rewolweru. To widziałeś, mój Józefie, nieprawdaż, bo schowany byłeś za paką z węglami?

— Prawdopodobnie.

— ...A dlaczego się tam schowałeś? Bo, jak sam mówisz, przeczuwałeś, że będzie nieszczęście, i zdawało ci się, że zdołasz ocalić życie pana twego.

— Zdawało mi się.

— ...Ale, niestety, ruch panny M. był tak błyskawiczny, że troskliwość twoja nie przydała

się na nie. I tak samo błyskawicznie dawna przyjaciółka twego pana wystrzałem z tego samego rewolweru sobie odebrała życie. Czyż tak?

— Tak, ale...

— Co ale, mój Józefie?

— Ale panna M. nie była dawną przyjaciółką mego pana. Kochali się do ostatka. Bardzo przepraszam! Proszę nie zmniejszać jej znaczenia w życiu mego najdroższego pana i dobrodzieja. Ona była ostatnią.

Przypomniałem sobie w tej chwili czarną, biedną sukienkę, która zaszeleściła w moim poikoiku, usłyszałem głos paniński:

„Żeby ci nie było smutno, Józefie“.

...I zapłakałem.

— «O» —

Powrót.

Dandy był psem doskonale wychowanym. Ani przez hrabiego, ani przez hrabinę, tylko przez... własną rasę. Można powiedzieć, że edukacja jego była kompletnie skończona w chwili urodzenia w pałacu hrabiowskim. Lubili go bardzo oboje państwo (zwłaszcza ona, smukła, ogromnie wysoka szatynka), ale on dotychczas nie dał się zepsuć. Poprostu nie chciało mu się być niegrzecznym.

Mimo to był popularny. Przepadały za nim takie istoty, jak kamerdyner, panna służąca, kucharka, stangret. Może głównie dlatego, że miał zasady co do czystości i nie przysparzał „bie-

dnym ludziom“ pracy. Zresztą... ha, ha, ha, zasady! Dużo możnaby o tem mówić... Zapewne i zasady jego były tylko wrodzoną elegancją.

Co do „sztuczek“, nie odznaczał się bynajmniej pod tym względem. Właściwie t. zw. wybitne zdolności nie są wogóle „comme il faut“. Umiał najzwyczajsze rzeczy, jak: podać łąpkę, aportować, służyć i t. d., ale nie czynił tego zbyt gorąco i w formie nadto indywidualnej, tylko tak, jak się markuje czasem ogólne wykształcenie w salonie: lekko, mimochodem, zimno, bez podkreśleń... Więcej byłoby mniej w oczach tak twornej osobistości. Miał dziwnie sympatyczny „wyraz twarzy“ (jak utrzymywała pani hrabina), ale nie kokietował, nie narzucał się swym wdziękiem i nikt w całym domu, nie wyłączając hrabiny, nie mógł poszczycić się najmniejszym dowodem jego szczególniejszej sympatii.

— Właściwie jest egoistą — orzekł raz hrabia — jak wszystkie foksteryery.

Na to oburzyła się hrabina.

Ale, zdaje się, że i hrabina nie była całkiem pewna co do serca i charakteru swego „jedynaka“ (wyrażenie ironiczne pana hrabiego) i z pewnym niepokojem wewnętrznym codziennie starała się na nowo o jego względy. Wszyscy domownicy starali się bezustannie i dość bezowocnie o jego względy.

Wszyscy, z wyjątkiem pana Teodora, bibliotekarza i kustosa sławnych zbiorów hrabiowskich. Pan Teodor nosił okulary, był głęboko uczony i... wogóle nie widział. Zajmowały go prawie wyłącznie rzeczy martwe. Pominawszy chyba panią hrabinę, z którą czasem w swej imaginacji flirtował podczas rozmowy o malarstwie toskań-

skiem i nawet podczas milezących i długich obiadów. Zresztą żywa natura była dla niego czemś w rodzaju przeszkody, czemś, co „nie daje spokoju“. O istnieniu psa w pałacu miał tylko bardzo ciemne i niewyraźne pojęcie. Dandy siadywał w jadalni pod stołem, ale zachowywał się tak cicho i przyzwoicie, że nie był żadną „przeszkodą“, a tem samem dla pana Teodora nie istniał.

Zauważył go pan Teodor dopiero raz na wiosnę, kiedy hrabia i hrabina wyjechali do Florencyi.

— Cóż to? — spytał Teodor lokaja, wchodząc o godzinie 2-giej do stołowego pokoju — przecież nie przyszedłem za wcześnie?

Tak niemożliwie był roztargniony, że zapomniał kompletnie o podróży gospodarstwa, choć projekt omawiało się przedtem conajmniej przez trzy tygodnie. Zdziwił go więc pusty pokój. A kiedy lokaj nie bez uśmiechu wyjaśnił mu sytuację, pan Teodor spojrzął naokoło siebie zdziwionym wzrokiem, tak, jakby znajdował się w tem miejscu po raz pierwszy.

Ciekawa rzecz, ale w tej ciszy i samotności odczuł niejako... „przeszkodę“. Czegoś mu brakowało, choć miał podostatkami tego, co lubił najwięcej — spokoju.

Brakowało mu perfum pani hrabiny.

Uświadomił to sobie dopiero po drugiej porażce. I w tej chwili było mu przykro. Mimo woli spojrzął w tym kierunku, gdzie zwykle siedziała i zdziwił się... Na krześle hrabiny siedział wyprostowany Dandy.

— A to co? — spytał dość ostro.

— Pies — odrzekł lokaj.

Potrząsnął głową.

— No tak... pies... widzę, że pies... Ale przecież on tam dotychczas nie siedział...

Lokaj uśmiechnął się po raz drugi.

— Nie; dotychczas siedział pod stołem... Ale on wie dobrze, że jaśnie państwo wyjechali.

Pan bibliotekarz czuł się dotknięty. Cóż z tego (pomyślał), że oni wyjechali?! Ale ja jestem. Pies powinien być zawsze psem. Bez względu na pozycję socjalną człowieka, który je obiad. Ja także należę do „państwa“ (pomyślał), choćby dlatego samego, że jem widelcem i nożem, nie macham ogonem i mam wyższe wykształcenie. Właściwie trzeba by ze względów zasadniczych zakazać psu siedzenia na krześle. Nie przeczę, że mam dosyć miejsca dla siebie (pomyślał), lecz tu chodzi niejako o porządek prawny, społeczny... I chrząknął, ażeby lokaja poprosić o zakazanie psu siedzenia na krześle (bo bał się, że sam tego nie potrafi).

...Ale w tej chwili wpadło mu na myśl, że lokaj go nie zrozumie. Lokaj może jest socjalistą, albo cz-mś podobnym. Chrząknął drugi raz i poprosił o wodę.

Pies siedział nieruchomy i przypatrywał się z widocznym zajęciem połędwicy na dziko z bu-rakami i makaronem.

Pan Teodor spoglądał na zwierzę przez okulary i myślał:

— Całkiem biały piesek. To ciekawe. . A prztem nie szczeka. nie rusza się nawet. Dziecko krzyczy, naprzykiza się... a taki piesek siedzi grzecznie jak dorosły... Ot na stole są dobre rzeczy. a on nie weźmie. Ciekawe!... Dlaczego nie weźmie? Czy dlatego, że mnie się boi, czy z moralności jakiej?...

Chrząknął...

— A gdyby tak nikogo nie było w pokoju? — spytał lokaja — to skoczyłby na stół i zjadł wszystko, co jest?

Lokaj nie rozumiał.

— Kto skoczyłby na stół?

— No... pies.

Lokaj uśmiechnął się po raz trzeci.

— Dandy? O gdzieżby! Sam nigdy nie ruszy. Zje tylko to, co mu się da. Sam nigdy...

Pan Teodor zastanowił się:

— Jakie to dziwne. Pomyśleć, że pies to zwierzę, a jednak istnieją dla niego tak niewidzialne, nierealne rzeczy, jak „wolno“ i „nie wolno“... — Byłby chętnie spytał lokaja, czy wszystkie psy jedzą tylko to, co im się da... Ale wstydził się... — Tego rodzaju ludzi — myślał — można, nie kompromitując się, pytać zawsze tylko o rzeczy konkretne. Można spytać: czy w tej wodzie są pstrągi?... Ale nie wolno spytać: w jakich wodach są pstrągi?... Bo potem zdaje się takiemu panu — myślał, — że mi daje lekcję, że jest mądrzejszy, wykształceniwszy odemnie...

Lokaj przyniósł czarną kawę i odszedł. Pan Teodor spojrział na zegarek i stwierdził, że zazwyczaj obiad trwa znacznie dłużej, bo po kawie jeszcze siedzi się pół godziny przy stole i mówi się n. p. z panią hrabiną o malarstwie tokańskim. Ale dzisiaj?

Pies siedział nieruchomy i przypatrywał się z widocznym zajęciem białym kostkom w cukier-nicze. Ponieważ nie znał się chyba na malarstwie tokańskim, więc pan Teodor wziął ka-

walek cukru i z niezwykłym u siebie niby = humorem spytał:

— Może pan pozwoli?

Na to pies zeskokczył natychmiast z krzesła, przybiegł do Teodora i maskując elegancko swą echiwość w pięknej pozie, czekał.

Proszę — rzekł wreszcie Teodor.

I pies połknął cukier. Pan Teodor zaśmiał się (trochę zachryple, jak instrument rzadko funkcyjujący) i powiedział sobie, że to „bardzo ciekawe“.

Powtórzył zaproszenie... i pies znowu „całkiem tak samo“ połknął drugi kawałek cukru.

— Całkiem tak samo — stwierdził Teodor z pewnym rozczerowaniem.

Przy trzecim kawałku była pewna odmiana, bo pan Teodor umieścił go dość wysoko na poręczy krzesła i Dandy musiał wykonać kilka męczących skoków, zanim go dostał.

Ale w rezultacie obaj byli zadowoleni; pies machał ogonem, jakby chciał powiedzieć:

„Wcale miły pan... w gruncie rzeczy“.

A pan Teodor pomyślał:

„W tym kierunku możnaby kształcić dalej pojętne pieska“.

Potem udał się na razie do biblioteki. Ale wieczorem, przy kolacyi, rzekł do lokaja:

— Dandy ma wiele inteligencji...

Lokaj w pierwszej chwili nie zrozumiał o co chodzi, ale bądź co bądź w zasadzie się zgodził.

Pan Teodor wrzucił dwa kawałki cukru do herbaty, a trzeci położył na kredensie.

— „Aha — rzekł do siebie Dandy, pobiegł do kredensu i po kilku sekundach zdobył cukier.

Lokaj uśmiechnął się z pewnem zastrzeżeniem, jakby chciał zaznaczyć, że są trudniejsze sztuki. A pan Teodor zaproponował:

— Gdyby mu tak schować gdzieś cukier...! Ciekaw jestem, czyby też znalazł...

— O, czemu nie! — rzekł lokaj i spojrzał naokoło, szukając niby wzrokiem odpowiedniego miejsca.

Ale pan Teodor zauważył inteligentnie:

— Trzebaby jednak schować tak, żeby Dandy nie widział...

— A, to mogę wyprowadzić go z pokoju — powiedział lokaj — a pan tymczasem schowa.

I wyprowadził psa z pokoju, a uczony pan bibliotekarz tymczasem „chowal“.

Najpierw pod dywan, potem pod kredens, wreszcie pod kanapę...

I wszyscy trzej rozbawili się, że aż miło. Pokazało się, że Dandy miał węch genialny, a pan kustosz strasznie mało fantazyi!...

Kanapa wpadła mu dość szybko do głowy, ale potem stwierdził, że w stołowym pokoju jest strasznie mało mebli...

— Czy już? — pytał lokaj niecierpliwie z drugiego pokoju.

— Zaraz, zaraz — odpowiadał z pewną tremą pan Teodor.

I schował cukier pod obrus.

Ale potem nie wiedział już nic, literalnie nic...

Więc lokaj radził:

— Do kominka..

— Za obraz...

Albo:

— Do szuflady kredensu.

A pan Teodor przyjmował każdą taką radę stereotypowym okrzykiem (zapożyczonym z jakiegoś „Robinsona szwajcarskiego“, którego czytał mając lat siedm):

— Doskonała myśl, dalejże do dzieła!

I na miłej zabawie niespostrzeżenie tyle ubiegło czasu, że pan Teodor udał się znacznie później na spoczynek, niż zazwyczaj, choć obecnie nie miał przy stole żadnej inteligentnej rozmowy.

Nazajutrz zaś — gdy pracował właśnie nad swem dziełem o Botticellim — wpadło mu ni stąd, ni zowąd do głowy:

„Pod spluwaczkę“.

I aż zaśmiał się z radości.

Po kilku dniach zabawy zrobił się sport formalny, a po tygodniu poprostu pasya, której, oprócz pana Teodora i lokaja, oddawała się z czasem cała służba.

Wszyscy „chowali“ od rana do wieczora z panem Teodorem, ale i bez niego — w różnych porach dnia, raz według tego, raz według innego systemu... na coraz to przebieglejsze, dziksze wpadając pomysły...

Bo okazało się, że Dandy był geniuszem. Odezwała się w nim rasowa krew myśliwska — zaczął teraz dopiero żyć swoim pełnym, własnym, najistotniejszym życiem.

Był ciągle na polowaniu, ciągle w ruchu. Nie „karmili“ go już tak, jak dawniej... Nie — on sam szukał sobie, własnym instynktem, wędchem zdobywał sobie... pokarm.

Uległ metamorfozie zupełnej, bajecznej, nieprawdopodobnej, której w zaślepieniu swem nie spozstrzegł pan kustosz sławnych zbiorów hrabiowskich...

Aż dnia pewnego, na wiosnę, nadeszła depesza od pana hrabiego:

„Przyjeżdżamy wieczór 10 pięć. Konie, kolacya, kąpiel“.

Pan Teodor siedział właśnie przy obiedzie, kiedy lokaj przyniósł mu ten telegram.

Lewą ręką jadł kurę z sałatą, a w prawej trzymał szpicrutę, broniąc się rozpaczliwie przeciw psu, który mu porywał co chwila najlepsze kąski z talerza.

— Straszne zwierzę — westchnął lokaj — (nie mając odwagi usunięcia psa ze stołu).

Pan Teodor zaś zrezygnował z reszty jedzenia, żeby mózdz przeczytać depeszę...

— W spiżarni są pustki — mówił lokaj — a mięso na dzisiejszą kolację pożarł także.

Pan bibliotekarz rzucił depeszę na stół.

— Przeczytaj! — rozkazał lokajowi...

— Dzisiaj wieczór? — zdziwił się lokaj.

Pan Teodor spojrział naokoło błędnym wzrokiem... Na psa, na półmisek, na pokój... Przypomniał mu się pierwszy obiad samotny, kiedy to się zdziwił, że piesek siedzi grzecznie jak dorosły... „Zbladł jak chusta... Zaczął dzwonić zębami...“

— Co panu?

Teodor wybełkotał:

— Po... powrót...

Lokaj się zdziwił:

— No tak... ale dlaczego pan taki błąd...

Powrót państwa...

Teodor wrzasnął:

— Powrót psa... nie państwa! Rozumiesz?

— Nie! — szepnął lokaj, wytrzeszczając oczy.

— Powrót do natury... do stanu dzikiego... do lasu... Rozumiesz?!

Lokaj spojrział na psa, jakby po raz pierwszy...

— Przecież to zwierzę drapieżne — krzyczał Teodor — wilk... wilk!...

Teraz lokaj zbladł także. Uśmiechnął się jednak po chwili i stwierdził:

— No tak... Ale ja nie jestem temu winien.

— «O» —

Ostatnia.

...Czuł, że zbliża się Koniec.

Nie troszczył się o to, czy sam zdobędzie się na decyzję: tak głęboko przeświadczony był o tem, że dzisiaj „coś“ rozstrzygnie za niego. Był wyczerpany pod względem pragnień i nadziei, tak jak stary człowiek wyczerpany jest fizycznie, i wiedział, że dlatego koniec będzie lekki. Ale nerwy miał przecież. Stąd niepokój. Stąd niesmak z powodu dżdżystego wieczoru, wstyd przed samym sobą, że idzie na śmierć w kałozach i z parasolem... A także wstręt na myśl o niedzielnie ubranych szewcach, którzy po owym strzale natychmiast się nim zajmą i skwapliwie zaalarmują policję.

Bo niedziela była. Niedziela bez najmniejszego powabu, od rana ołowiana. Na ulicach świeciły już latarnie... i mimo mnóstwa ludzkich postaci było tak jakoś cicho dokoła, że własna myśl wydawała mu się jedynym głosem... i nawet pies nie szczekał, koń nie zarżał.

Mgła żółta. A poza mgłą, jakby ogólne czekanie na ów strzał... Czekanie ciał martwych i żywych.

Wsiadł do tramwaju, nie chcąc namyślać się nad celem wędrówki. Apatycznym głosem, cierpliwie i długo sprzeczał się z konduktorem o kilka centów... i nagle z obrzydzeniem rzucił mu całą resztę. Cmił jakiś czas bez przyjemności papierosa, a po kilku stacyach, gdzieś w małej uliczce, wyskoczył z wozu i pewnym krokiem podążył do okna małego sklepiku, jakby tu miał interes, dla którego wyjechał na przedmieście.

..W oknie sklepiku były trzy klatki. Dwie były puste, ale w trzeciej znajdowały się białe myszy. Jedna huśtała się na kółku, druga jadła kolację. Po prawej stronie wyciągała się trzecia, jakby ziewając, a w tyle spały obok siebie czwarta i piąta. Zapukał palcem w szybę... i w tej chwili spojrzęło na niego dziesięć ocz sympatycznych...

...Miał wrażenie bardzo przyjemne. Coś w rodzaju ciepłego wspomnienia bez uświadomionej treści. Uśmiechnął się do nich, jak do dzieci... A że towarzystwo spoglądało na niego ciągle i z niezmięszonem oczekiwaniem, więc zapukał jeszcze raz do okna... Potem zarumienił się lekko, bo czuł, że białe myszy spodziewają się po nim nadzwyczajnych rzeczy... a jemu nie wpadło nic zabawnego na myśl prócz pukania.

...Odwrócił się; ulica była pusta. Pomyślał, że może nikt mu nie będzie przeszkadzał... Mógł stać przed oknem na razie, choćby do zamknięcia wystawy.

„Teraz mnie nie widzą“, zauważył z zadowolaniem...

...Na kółku huśtały się dwie myszy... w kącie romansowała para... ale jedna mysz, najmniejsza...

„Ta jedna przecież się patrzy“, spostrzegł zaambarasowany, ale nie bez pewnej dumy.

...Namyslał się przez chwilę, czy pokazać jej zegarek, czy zapukać po raz trzeci... A gdyby tak przed nimi się zastrzelić?... możeby się zabawiły cokolwiek... Wsadził szybko rękę do kieszeni... ale w tej chwili w klatce zrobiła się panika... Przystały się huśtać, kochać... i spoglądały na niego z przerażeniem... wszystkie.

...Ha! ha! — zaśmiał się krótko i sucho — co za człe, nerwowe stworzenia!... Co za węż psychiczny.

Jakiś czas bawił się ich bolesnym lękiem, wymachując błyszczącym rewolwerem przed ich oczyma... Zdawało mu się, że słyszy ich pisk przez grubą szybę...

...Patrzył na nie uważnie... i zaczął nagle mruczeć:

„...*Des femmes*... nie ulega kwestyi. Czuję najwyraźniej, że nie ma między nimi ani jednego samca... Pięć kobiet“...

...Oczy mu pociemniały.

„Możnaby sobie wyobrazić, że ta największa, która skryła się w kącie.. Naturalnie — Luiza! Nie patrz się tak słodko!. Poświęciłem ci dwa lata... dziewiętnasty i dwudziesty rok życia.. Pierwsza przyszłaś i byłaś długo... bo przyszłaś pierwsza. Dziękuję ci za pierwszy ból serca i za początki suchot psychicznych... A wam, innym, dziękuję za resztę cierpień... i za resztę życia, która raczyłyście przyjąć odemnie. Byłyście drogie, ale nie uważam się za oszukanego... Teraz nie mam nic — i wyobraźcie sobie! — teraz, kiedy

nie mam, chce mię wziąć... ta, najmniejsza z was, najmłodsza, która najserdeczniej na mnie się patrzy... Krótko mówiąc: zaręczyłem się lekko-myślnie z pewną panienką. *Voilà*. Wczoraj powiedzieli mi „tak“, nie wiedząc o niewypłacalności mej duszy. Nie mam już ani złudzeń, ani talentu, ani pragnień... nie mam nic, co mogłaby zjeść ta panienka, która chce zostać „moją“... Co pozostaje w takim przypadku honorowemu mężczyźnie? Tylko ten przedmiocik błyszczący, który... Nie bójcie się! Będę szanował wasze nerwy, pójdę dalej, jeszcze dalej za miasto... i dopiero gdzieś na polu, w lesie.

Drogie moje, z wdzięczności dla was nie zastrzelę się tu, przed oknem... lecz gdzieindziej. Addio!... Naprawdę wam dziękuję. Bo jeżeli kiedykolwiek budziłem się ze snu z przyjemnością, to tylko na myśl, że wy, białe moje, jesteście na świecie, wy, kobiety...

I chciał już odejść od okna... i jeszcze się zatrzymał, żeby sklonić się głęboko przed najmłodsza myszką, która ciągle na niego patrzyła:

„A tobie dziękuję najwięcej... Innym rozdałem wszystkie swoje iluzje... a tobie, ostatniej, sam iluzję zawdzięczam... Dziękuję ci za nią. Już nikt mi jej nie zabierze... ani ty, ani nikt inny, bo za chwilę przyjdzie Koniec“...

Nareszcie odwrócił się od okna wystawy. Zaczął iść krokiem powolnym, krokiem starego człowieka, dalej za miasto... i myślał o ostatniej.

Nie mógł się wstrzymać, żeby nie wyjąć jej fotografii i nie powiedzieć do niej tonem konwersacyjnym:

„Przepraszam panią najmocniej za to, co zaszło... jeżeli oświadczyłem się pani we czwartek

na balu, to jedynie dlatego, że upiłem się Jej pięknosciami i zapachem Jej ośmnastu lat... Mianowicie: jestem i byłem zawsze cokolwiek za wrażliwy na t. zw. „wdzięki kobiecie“... he, he... Bardzo przepraszam. Mogę nawet powiedzieć, że ta zbyt uia wrażliwość jest właśnie powodem, pośrednim powodem... kroku, o którym droga pani dowiędzie się jutro z „Gazety Wieczornej“. ...Proszę polecić mię łaskawej pamięci mamy dobrodziejki i przyjąć jeszcze raz... hm...“

...Nagle ziewnął.

Schowwał fotografię do kieszeni i zaczął iść prędzej.

„...Magistrat mógłby troszczyć się więcej o czyszczenie ulic... No, no... tylko nie tracić humoru. Gdyby nie kalosze... Powinien byłem wziąć ze sobą trochę monety, żeby mieć na fiakra... Zresztą... bądź co bądź“...

Ziewnął znowu.

„Bądź co bądź... ta mała, ta ostatnia ratuje sytuację... Upiększa mój Koniec. Nie śniło mi się przed tygodniem, że będę miał narzeczoną... Ha, he... Że moja ostatnia będzie białym kwiatem, dziewczeczką...“

Nagle przestał ziewać. Zaczął się zastanawiać, do jakiej klasy społecznej należy kobieta, idąca czterdzieści kroków przed nim...

— Chód ma piękny... — mruczał — gracya członków szlacheckich... Pióro na kapeluszu za tryumfalne, jak na aureę... ale suknia wcale... W każdym razie nie zamieszkuje smutnej dzielniey, przez którą idę... I stopy foremne...

Nieświadomie zaczął iść prędzej...

— Przekonam się tylko, czy ma skórę przejrzystą, jak przypuszczam... Zresztą... ha, ha...

w tej chwili kobiety!... Ale przekonać się można, jaką ma cerę, bo sądząc według karku i włosów...

Zerwał się wiatr... Deszcz stał się dokucającym, kłującym...

Otworzył parasol.

— Dokąd? dokąd? — gniewał się na idącą przed nim kobietę.

...Bo musiał biedz prawie, żeby nie stracić jej z oczu. I znikły domy, otwarła się wietrzna, bezbarwna łąka... rozległy, beznadziejny plac musztry... a zdaleka czerniły się drzewa.

...Patrzył z pod parasola na kobietę.

— Co za rytm w tych nogach, — myślał prawie z rozrzewaniem, — co za fale piękności w tym chodzie kobiecym!... Cała słodycz bytu jest w ruchu tych bioder, kolan...

Szedł... i patrzył. Świat ściemniał się, niebo gasło...

...A on szedł, szedł... i patrzył w jedyne życie na martwej płaszczyźnie...

Szedł z wzrokiem, boleśnie pogrążonym w ukochanej muzyce kobiecego ciała...

Kobieta stanęła.

— Zabłądziła — pomyślał z nieświadomością uciechą — wróci... albo spyta mnie o drogę... W każdym razie zobaczę jej twarz, jej usta, oczy...

I zbliżył się z biciem serca.

...Zobaczył jej, oczy... twarz...

Zdrętwiał z bólu...

Starość, nieudolnie pomalowana na czerwono, zaśmiała się do niego bezzębnymi ustami.

— Tam w lasku... — szepnęła zalotnie.

... Zapach wódki poczuł...

I chciwie przycisnął do swych warg gorących lufę rewolweru...

Leżąc na ziemi, słyszał jeszcze pisk cieniutki...

— Białe myszy — szeptał w agonii.

Krew z ust mu płynęła... Ale uśmiechał się jeszcze... Zdawało mu się, że stoi przed wystawą małego sklepiku i puka do okna...

Uśmiechnął się, jak do dzieci..



~~64874~~ 71168